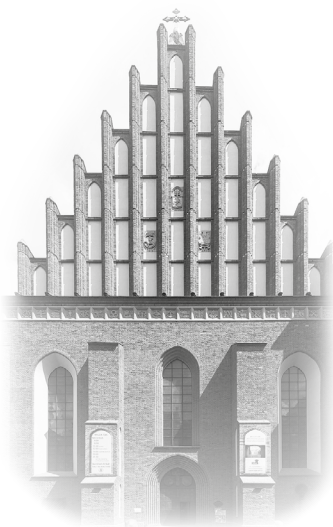


CUDA BŁOGOSŁAWIONEGO KARDYNAŁA STEFANA WYSZYŃSKIEGO

opracowali

o. Gabriel Bartoszewski OFM^{Cap}, wicepostulator

Aniela Michalska, notariusz



Wydawnictwo WAM • Księża Jezuici

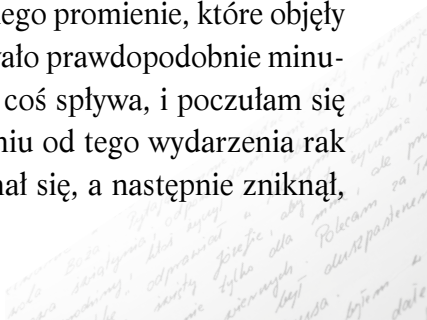
Uzdrowienie z raka narządów wewnętrznych

Maria, Łódź

Jestem osobą, która przeszła ciężką chorobę. Wszystko to miało miejsce niedawno, cała sprawa jest świeża.

Zachorowałam na raka złośliwego narządów wewnętrznych i nie było już dla mnie ratunku. Wtedy to zaczęłam modlić się do Stefana Wyszyńskiego o pomoc, o wstawiennictwo za mną u Boga. W szpitalu miałam także obrazek z jego wizerunkiem. Modliłam się w rozpaczy do tego obrazka, czyli Stefana Wyszyńskiego, o pomoc w uleczeniu mnie.

Stał się cud. Patrzyłam na ten obrazek i w pewnym momencie wyszły z niego promienie, które objęły mnie całą. Wszystko to trwało prawdopodobnie minutę. Poczułam, jak ze mnie coś spływa, i poczułam się lepiej na duchu. Po tygodniu od tego wydarzenia rak złośliwy najpierw wstrzymał się, a następnie zniknął, tak jakby się wchłoniął.



Lekarze bardzo się dziwili temu, co się stało. Mam 45 lat i organizm jeszcze silny. Po pewnym czasie po badaniach wypuszczono mnie do domu i powiedziano mi, żebym Bogu dziękowała.

Pragnę gorąco podziękować za udzielone mi łaski

Elżbieta

Boże Wszechmogący, jako niegodna służebnica pragnę gorąco podziękować za udzielone mi łaski przez wstawiennictwo kardynała Stefana Wyszyńskiego. Na dowód moich pragnień przedstawiam przeżyte fakty i łaski udzielone przez jego wstawiennictwo.

Pierwszą bardzo ważną sprawą było moje zawieszenie w sprawie ukończenia dwuletniej szkoły poma-turalnej mojej córki. Chodziło nam nie tylko o dobre wyniki nauczania, ale w szczególności o końcowy wynik z pracy dyplomowej i jej obronę. Błagaliśmy kardynała Stefana Wyszyńskiego o to bardzo gorąco, a dzięki dobroci Boga tak się stało.

Następną moją prośbą przez wstawiennictwo Pry-masa Wyszyńskiego były błagania o szczęśliwą śmierć dla mojego taty.

Pragnę podkreślić, że tym wszystkim, a szczegól-nie moją niegodną osobą, cały czas kierowała Matka Boża, a moc Pana naszego Jezusa Chrystusa, które-go Ciało bardzo często przyjmowałam, działało prze-ze mnie.

Tata przeżył 82 lata i Bogu gorące dzięki za szczę-śliwą śmierć i wspaniały pogrzeb.

Po śmierci taty Matka Boża posłała mnie do znajomej, z którą kilkanaście lat temu razem mieszkaliśmy w jednym domu. Ona nie miała ślubu kościelnego, tylko żyła po ślubie cywilnym. Miała trzech synów, a jej partner pracował w wojsku i był ateistą. Nie chodził do kościoła, nawet ich dzieci ochrzciła babcia. Mimo to byli życzliwymi sąsiadami. Gdy potrzebowałam pomocy do małego dziecka – mojej córki – to nigdy mi jej nie odmówiła. Po kilkunastu latach od naszej wyprawki dowiedziałam się, że owa sąsiadka jest bardzo chora. Kiedy poszłam ją odwiedzić, to się przeraziłam. Ciężko chorowała, a pomocy od synów i ich żon nie było. Dlatego też ofiarowałam trochę mojego wsparcia. Pomagałam, jak potrafiłam. Jednocześnie uznałam, że najważniejszą w jej przypadku sprawą jest doprowadzenie do pojednania się z Bogiem. Prosiłam ponownie kardynała Stefana Wyszyńskiego, aby z Matką Bożą pomogli tej chorej.

Na początku pojawiły się kłopoty stwarzane przez jej męża, ale mimo to ona bardzo chciała tego pojednania, więc zostawiłam jej różaniec, mówiąc, że jeżeli nie umie go odmawiać, to chociaż niech go ucałuje i trzyma przy sobie. Ten święty różaniec ocalił ich rodzinę przed spaleniem, gdyż jej mąż chciał podpalić cały dom, po tym jak się dowiedział, że chce sprowadzić kapłana z Panem Jezusem. Przekazał mi telefonicznie tę wiadomość o spaleniu. W nerwach krzyknęłam, że sam na ziemi chce sobie piekło zgotować.

Był on bardzo zmęczony chorobą żony, ale do przytułku nie chciał jej oddać. Nie daj Boże nikomu takiej choroby – wielkie kalectwo. Wtedy powiedziałam przez telefon: „Proszę cię, weź różaniec do ręki”, a on odpowiedział, że nie umie się na nim modlić.

Prosiłam, aby wziął go do ręki, to zły duch zostawił go w spokoju. Tak zrobił, a potem płakał i przepraszał. Następnie wyraził zgodę na przyjęcie kapłana z Panem Jezusem. W dniu pojednania chorej przyśnił się Pan Jezus. W niedługim czasie zmarła w strasznych cierpieniach w szpitalu. Bogu niech będą gorące dzięki za łaskę nawrócenia. Jej mąż spotkał swoją pierwszą miłość już jako wdowę – bardzo wierzącą – i prawdopodobnie wziął ślub kościelny.

Kolejne moje spotkanie z człowiekiem wojskowym odwróconym od Boga miało miejsce przy organizowaniu kółka różańcowego. Powierzono mi przez naszych kapłanów obowiązek zelatorki i chodziłam po mieszkaniach, aby rozdać tajemnice różańcowe. Z tej okazji miałam sposobność rozmawiać z ciężko chorym na raka. Jego wierząca opiekunka zdradziła mi tajemnicę, że on nie chce przyjąć kapłana, bo są tylko po ślubie cywilnym. Znała opinię lekarzy, że czas na pojednanie jest krótki, gdyż całe płuca były już zaatakowane przez raka. Uporczywie, a jednocześnie delikatnie błagałam tego pana, aby wyraził zgodę na pojednanie z Bogiem. Po dość długiej rozmowie powiedział, że w ciągu tygodnia da odpowiedź, to była

niedziela. W poniedziałek poszłam do kościoła i zgłosiłam księdzu, że będę się modliła przez wstawiennictwo kardynała Stefana Wyszyńskiego o nawrócenie i pojednanie z Bogiem tego pana.

W tym też dniu siostra zakonna prowadziła różaniec, więc zgłosiłam intencję o nawrócenie i pozostałam na Mszy św. Po trzech dniach sama zachorowałam; wracając od lekarza, przypomniałam temu panu, że czekam na jego decyzję. Na drugi dzień rano przyszła do mnie jego opiekunka z prośbą o przybycie kapłana z Panem Jezusem. Bogu dzięki za kolejną łaskę nawrócenia, która była dana. Zaraz po niej nastąpiła bardzo spokojna śmierć tego mężczyzny.

Jechałam do taty z radością

Zuzanna, Warszawa

Pragnę się podzielić, jaką łaskę otrzymałam, kiedy modląc się i prosząc, odmawiałam *Modlitwę o beatyfikację Stefana kardynała Wyszyńskiego Prymasa Tysiąclecia*, a było to jesienią 1983 roku. Otóż moi rodzice wzięli ślub 10 kwietnia 1944 roku w parafii Matki Boskiej Częstochowskiej w Wołominie jako małżonkowie Waclaw i Michalina M., ale po siedmiu latach rozeszli się. Po rozwodzie wychowywała mnie mama, zaś tata nie interesował się mną nigdy, chociaż bardzo tęskniłam. Już myślałam, że nigdy go nie zobaczę, ale stało się to dzięki tej radosnej dla mnie modlitwie z obrazka. 30 listopada 1983 roku jechałam do taty do Gdańska z radością, bez żadnych żali, ale za to z miłością. Obecnie moi rodzice już nie żyją, modłę się o nich i kocham, gdyż dla mnie żyją nadal w mym sercu.



Idź, twój ojciec żyje

s. Lidia, Warszawa

Mój ojciec Franciszek R. mieszka w Łomiankach, 20 minut autobusem od Warszawy-Bielan.

Ja parę miesięcy byłam w Siedlcach w naszym domu zakonnym. 14 sierpnia zadzwoniła do mnie moja siostra, że tato jest ciężko chory. Wysłała telegramy do reszty rodziny: siedmiu osób uczestniczących w Pielgrzymce Warszawskiej, dwóch na wsi i jednej siostry nad morzem. Do mnie mówiła: przyjedź natychmiast, bo tato jest bardzo chory. Dołem wypływało mu z wiadro jakiejś żółtej cieczy, straszliwie cuchnącej, potem coś brązowego jak fusy z kawy. Nic wcale nie mówi. Dzisiaj zabrali go do szpitala. Lekarz z pogotowia powiedział: proszę pani, byleby tylko nie mocznica, to z inną chorobą poradzimy sobie.

Siostra przełożona pozwoliła mi natychmiast jechać. W szpitalu na Bielanach byłam chyba przed trzynastą. Leżał na chirurgii. Jedno spojrzenie wystarczyło, żeby wiedzieć, że jest źle. Cały nos i czoło żółto-białe, i takie same pręgi od oczu w stronę skroni, oczy nieprzytomne, chociaż mnie poznawał. Mówił tylko jakieś pojedyncze wyrazy, które z trudnością mogłam zrozumieć: umieram. Oddech był bardzo szybki, aż cała klatka piersiowa chodziła. Był bardzo zimny,

z oczu płynęły łzy. Spytałam, czy przyjął sakramenty święte. Pokręcił głową, że nie.

Zaczęłam biegać po całym oddziale, ażeby dowiedzieć się, skąd i w jaki sposób sprowadzić księdza, ale już chyba tylko z olejami świętymi. Biegając, powtarzałam bez przerwy: „O Maryjo, o księżu Prymasie, byleby tylko ksiądz zdążył”. Muszę zaznaczyć, że w mojej rodzinie, odkąd pamiętamy, wszyscy umierali bez sakramentów świętych. Moja mama, 22 lata, wieczorem zachorowała, rano umarła; szwagier, 32 lata, oddawał krew jako honorowy dawca krwi i przy tym zmarł; babcia, 83 lata, przechodziła przez jezdnię i wpadła pod samochód; wujek, 48 lat, zachorował na żółtaczkę i zmarł nagle.

Dlatego widząc, jaki jest stan taty, tak bardzo pragnęłam jak najszybciej odnaleźć kapłana. Pomagało mi kilka osób, a szczególnie pani sekretarka z chirurgii. To ona wszystko załatwiła, po drodze powiadomiła mnie, żebym szła do sali, ksiądz już idzie. Rzeczywiście do sali weszliśmy razem. Tato leżał już pod tlenem i była podłączona kroplówka. Ksiądz pochylił się, zadawał pytania, ojciec tylko kręcił głową. Potem widziałam, jak tato kreślił ręką z szeroko rozstawionymi palcami znak krzyża świętego. Tak odbyła się spowiedź, potem namaszczenie olejami świętymi. Ksiądz pięknie się modlił. Mówił, że ojciec jest przytomny, mógłby i Komunię św. przyjąć, ale przyniósł ją dopiero za dwa dni. U taty byłam do osiemnastej.

Przez ten cały czas bardzo często przychodzili lekarze i pielęgniarki z zastrzykami. Słyszałam, jak tato do lekarza mówił: „Boli okropnie, boli w plecach, nie wytrzymam”. Chciał pić, ale oprócz jednej łyżki przegotowanej wody nic nie wolno było podawać. Potem pojechałam do Łomianek, reszta rodziny zjechała się do domu rano. Przed dziesiątą byliśmy już wszyscy w szpitalu – żył. Stan bez zmian. Podłączony został tylko woreczek na mocz. Lekarz przy nas powiedział: niewiele tego spływa. Zapytany o nazwę choroby taty odpowiedział, że sami jeszcze nie wiedzą, prawdopodobnie mocznica. Wczoraj, to znaczy w piątek, został przyjęty, dzisiaj jest wolna sobota, jutro niedziela, tak że dopiero w poniedziałek będą wiedzieć. Do taty chodziłam przez trzy dni. Stan się nie zmieniał. Nie chciał nawet pić. Twarz i szyję miał spuchnięte. Leżał jak kłoda. Smarowaliśmy mu plecy spirytusem, bo trzeba było go przekreślać, nie mógł się ani trochę ruszyć.

Ja rano w poniedziałek wyjechałam do Siedlec. Umówiłam się z rodziną, że mnie powiadomią o diagnozie lekarskiej. Rzeczywiście 20 sierpnia przed ósmą zadzwoniła moja siostra. Tato został przeniesiony na oddział wewnętrzny. Niestety, była to nie tylko mocznica, ale i ostre zapalenie trzustki, stan bardzo ciężki. Pożółkł, a wkoło oczu poczerniało. Siostra pytała lekarza, czy jest jakaś nadzieja, to nic nie odpowiedział, wrzucił ramionami i powiedział: „Albo tak, albo tak”. Pytałam sióstr, które pracowały jako pielęgniarki,

to mówiły, że wystarczy jedna z tych chorób, aby umrzeć, a tu dwie naraz, a tato ma przecież 69 lat i nie jest taki silny. Wpadłam w rozpacz, tak bardzo chciałam, aby żył. Po pierwsze to ojciec, po drugie to po prostu chciałam za wszelką cenę, aby żył. Przez całe życie mierzył się z trudnymi warunkami materialnymi. Słomiany dach na domu, podłoga z ziemi, a teraz mieli piękny pokój z dywanem na podłodze, lśniące meble, telewizor. Często słyszałam, jak mówili: nam to teraz nie zechce się umierać, tak nam teraz dobrze. A tego „dobrze” było chyba nie więcej niż sześć lat. Po trzecie to nie było Danki (jednej z sióstr), przebywała nad morzem jako wychowawczyni. Jej nie zawiadomili, kończyła za parę dni turnus. Bali się, że zostawi dzieci i przyjedzie (mogłoby się jeszcze więcej biedy narobić). Lekarz mówił, że chociażby przyszło najgorsze, to nie natychmiast, można te dwa czy trzy dni poczekać. A tato o nią właśnie mnie pytał: „A czy Danka jest?”. Przełożona pozwoliła mi jechać. Pociąg miałam około dziesiątej. Wyszłam wcześniej, myślałam, że może zabiorę się wcześniej na pociąg międzynarodowy. Prosiłam konduktora, kazał mi pójść do lokomotywy, biegłam, ale nie zdążyłam. Ruszył, jak byłam w połowie drogi.

Tak bardzo chciałam jak najszybciej być w krypcie u świętej pamięci Księdza Prymasa Wyszyńskiego, aby błagać go o zdrowie dla taty. Niedługo przyjechał pociąg do Warszawy, ale mnie wydawało się, jakby to

trwało cały rok. Nie mogłam znieść, że pociąg tak się wlecze. Modliłam się, patrzyłam na zdjęcie Księdza Prymasa. Gdy byłam jeszcze w domu, często chodziłam na uroczystości, w których Ksiądz Prymas przewodniczył. Słuchałam kazań, które głosił, było od nich wiarą, prawdą, polskością i kultem do Matki Bożej Częstochowskiej. Tego właśnie potrzebowała i moja dusza. Cieszyłam się jego życiem, tak bardzo pragnęłam i modliłam się o to, aby doczekał się jubileuszu 600-lecia obecności obrazu Matki Bożej Częstochowskiej na Jasnej Górze. Nie chciałam nawet myśleć o uroczystościach bez niego. Ale i śmiercią Księdza Prymasa Pan sprawił mi radość, że w tym dniu, w dniu Wniebowstąpienia Pańskiego, powołał go do siebie. Nigdy w życiu nie wątpiłam o świętości Księdza Prymasa, a tym bardziej po takiej śmierci. Stałam parę razy w kolejce, aby dostać się do krypty. Widziałam, jak ludzie z czcią klękają, całują sarkofag, o, jak ja się tym cieszyłam. Dlatego całą swą nadzieję złożyłam w nim, że może tatę uzdrowić. Weszłam do krypty około trzynastej, było bardzo dużo ludzi, chyba jakaś wycieczka, odmawiali *Zdrowaś Maryjo* – pewnie dziesiątek różańca. Uklękałam pod filarami z prawej strony sarkofagu. Chciałam najpierw się pomodlić, zanim poproszę. Odmówiłam trzy czy cztery razy *Zdrowaś Maryjo*, chociaż ze słów, które wypowiedziałam, nie wiem, czy by wyszło jedno. Nie mogłam mówić, dusiło mnie w gardle, prosić też

nie prosiłam – nie zdążyłam. W pewnym momencie kątem lewego oka zobaczyłam, prawie poczułam fizycznie krąg wielkości dłoni i z tego kręgu usłyszałam głos: „Idź, twój ojciec żyje”. Zatrzęsłam się. Łzy same polały mi się z oczu. Zaczęłam się śmiać z radości. I dalej już jak echo tamtych słów: „Idź, na co czekasz. Idź już”.

W tej samej chwili uświadomiłam sobie, że przecież to głos świętej pamięci Księdza Prymasa u jego grobu. Głos ten był jedną radością, śmiechem. Ksiądz Prymas i głos, który był jedną gamą śmiechu, to coś nie do pojęcia. Myślałam: kiedy się tak cieszy, to pewnie mówiąc, myślał o życiu wiecznym, tato przecież przyjął sakramenty święte. U nas w rodzinie to się już dawno nie zdarzyło. Miałam nadzieję, że może i o życiu ziemskim mówił, że się śmieje, to pewnie jest taki szczęśliwy. Wyszłam, uśmiechnęłam się, nie spieszyłam się już.

W autobusie 132 też się uśmiechałam, taka byłam spokojna. Weszłam do sali, w której tato leżał, i też się uśmiechałam. Nic nie pamiętam, czy była jakaś zmiana na lepsze. Zaraz przyszła mama i druga siostra. Posiedziałyśmy trochę, postawiłam na stoliczku przy taty łóżku zdjęcie świętej pamięci Księdza Prymasa i pojechałam do domu do Łomianek. Rano 21 sierpnia nie mogłam wytrzymać, chciałam pójść jak najszybciej do szpitala. Rodzinie powiedziałam, że mam rano wrócić do klasztoru. Odchodząc, powiedziałam:

„Nie bójcie się, tatowi nic nie będzie”. „Daj Boże” – odpowiedziała mama. W szpitalu byłam przed ósmą rano. Weszłam do sali, nie spał. Oczy miał zupełnie przytomne, wyglądał normalnie, jak po przebudzeniu się ze snu. Nachyliłam się i spytałam: „No i jak?”. Odpowiedział, ale głosem niezupełnie swoim: „Ja ci mówiłem, żeby mi co dali od żołądka, toby mi przeszło, wczoraj dostałem maleńki czopek i jak ręką odjął. I czuję się zupełnie dobrze”.

Dalej bardzo się bałam, czy to aby o życiu ziemskim Ksiądz Prymas mówił. Może to tylko przesilenie choroby chwilowe. Ten głos roześmiany tak mnie mylił. A zresztą tak trudno mi było w coś takiego uwierzyć, przecież to zupełnie jak w Ewangelii: „Idź, twój ojciec żyje”.

O Boże, mój Boże, a gdzież to dla mnie takie rzeczy. O Boże, bądź uwielbiony. Do klasztoru przyjechałam około jedenastej. Na drugi dzień, to jest 22 sierpnia, w czasie naszego śniadania siostra przełożona odebrała telefon, był do mnie. Dzwoniła moja siostra, mówiła, że stał się cud, tatuś wczoraj (to znaczy niedługo po moim wyjściu) wstał sam, był w łazience i palił nawet papierosa. Mówiła, żebym przyszła po południu, to się więcej dowiem, bo siostra idzie do lekarza zapytać o stan zdrowia.

Pojechałam, byłam w naszym domu zakonnym w Warszawie, więc miałam blisko. Tato wyglądał zupełnie dobrze, tylko był bardzo słaby. Odjęli kroplówkę,

która przez tyle dni po dziewięć butelek dziennie plynęła. Tato mówił, że dzisiaj dostał kleik – pierwsze jedzenie od ośmiu dni. Siostra powiedziała, że już wczoraj powinien dostać jedzenie, ale to przeoczyli. Poleciał lekarz przynosić też 3 litry picia. Ojciec musiał teraz codziennie tyle wypić, żeby oczyszczała się krew (odjęta była kroplówka). Później dowiedziałam się od siostry, że lekarz powiedział, że życiu pacjenta nic już nie zagraża. Zapalenie trzustki minęło, mocznica też zdecydowanie ustąpiła.

Teraz już nie wątpiłam, że tato będzie żył. Siły wracały mu z każdym dniem. Po paru dniach dostał normalne jedzenie: mięso, zupę ogórkową. Lekarz na obchodzie pytał nawet, czy nie chciałby pójść do domu. Ordynator na obchodzie stwierdził również, że stan ojca jest dobry. Po upływie czterech tygodni od daty przyjęcia do szpitala lekarze postanowili wypisać tatę, wypadło to 11 września. Później jednak cofnięto wypis, ponieważ chcieli jeszcze przeprowadzić dodatkowe badania, aby ustalić, skąd się wzięło zapalenie trzustki. Robili badania żołądkowe i inne. Przeprowadzili też rozmowę z mamą, pytali o najdrobniejsze szczegóły związane z chorobą. W szpitalu pozostał jeszcze dwa tygodnie, ale żadnych lekarstw już nie otrzymywał.

Ze szpitala wypisano tatę 25 września. Przy wypisie dowiedzieliśmy się od lekarza, że dodatkowo miał jeszcze zapalenie płuc. Spotkana znajoma pani

magister z apteki po wysłuchaniu przebiegu choroby stwierdziła, że teraz tato będzie cierpiał na cukrzycę. Ale żadne powikłania nie wystąpiły. Powiedziała mi, że to wprost niemożliwe, chyba żeby to cud, innego wyjścia nie ma. Nie znam się na medycynie, wiem tylko, że tato jest zdrowy, nic mu nie dolega, wygląda też dobrze i je wszystko, nawet zupełną grochową.

Dzisiaj, gdy o tym wszystkim myślę, gdyż już niedługo będą trzy miesiące od tamtego dnia w krypcie, to żeby nie ten głos roześmiany, to myślałabym, że może to mi się tylko przywidziało albo to była tylko myśl.

Dziwi mnie ogromnie, że tam w krypcie słyszałam na lewe ucho i to tak wyraźnie, a ja na nie niezbyt dobrze słyszę. Zawsze cała słyszalność koncentruje się u mnie na prawym uchu.